

CZARNA ORCHIDEA

Wspomnienie z dzieciństwa: siedzę na strychu. Jest ciemno i strasznie. Nie mogę wyjść. To bracia mnie tu zamknęli. Krzyczę i płaczę, ale nikt nie przychodzi. Nikogo nie interesuję. Jestem sama jedna w groźnym świecie.



Moi bracia w ogóle lubili mnie dręczyć. Byli starsi i silniejsi, nie miałam szans. Ponizali mnie, bili, obmacywali. Rodzice nie widzieli albo nie chcieli widzieć. Tak naprawdę nie chcę o tym mówić. Nadal czuję wielki wstyd – że nie umiałam się wtedy obronić. Nienawidzę być bezbronna.

Nie potrafię też płakać. Ojciec często używał pasa, a kiedy zaczynał, nie umiał skończyć. Pewnego dnia bił mnie i bił. Zaciśnęłam zęby i postanowiłam, że nigdy więcej podczas lania nie będę płakała. I nie płakałam. Przynajmniej na to jedno miałam wpływ.



W szkole średniej nosiłam długie czarne warkocze i grałam w tenisa. Byłam ulubienicą różnych nauczycieli ze względu na swoje zdolności, jednak paraliżowała mnie nieśmiałość. Pięknie śpiewałam, ale unikałam publicznych występów solo. Szukałam miejsca w drugim, trzecim rzędzie. Tylko sprowokowana potrafiłam wejść w dyskusję i wtedy bezkompromisowo broniłam swojego zdania. Nawet lepiej było nie stawiać mi na drodze.

Mimo wielkich pragnień i starań czułam się wciąż samotna. Nie miałam przyjaciółki, nie spotykałam się z żadnym chłopakiem. Nie, żebym nie próbowała. Zazdrościłam dziewczynom chodzącym pod rękę i powierzającym sobie nawzajem sekrety. Mnie nikt się nie zwierzał i nikt nie był ciekaw moich tajemnic. Z chłopakami doskonale udawało mi się tylko w wyobraźni. Ich fizyczna bliskość budziła we mnie odręzę pomieszaną z lękiem.

Bez trudu zdałam maturę i wyjechałam na studia. Chciałam czegoś nowego. Potrzebowałam radykalnej zmiany. I taka zmiana się dokonała.



To się stało podczas akademickich rekolekcji ewangelizacyjnych. Pierwszy raz w życiu usłyszałam, że Bóg mnie kocha, chociaż jestem grzesznikiem, że Jezus mnie zbawił i że wszystko będzie dobrze, jeśli powierzę Mu moje życie. Pierwszy raz trzymałam w ręku Biblię. Nie miałam pojęcia, że wiara to coś więcej niż chodzenie do kościoła w niedzielę i śpiewanie litanii przy kapliczce. Otworzyły się przede mną jakieś drzwi, a za nimi piękny, nieznany dotąd świat. Oddałam Jezusowi moją teraźniejszość, powierzyłam Mu moją przyszłość. Zaczęłam żyć innym życiem.

Dołączyłam do wspólnoty, która prowadziła rekolekcje. Tam nauczyłam się czytać Pismo święte, modlić spontanicznie, pokochałam liturgię Kościoła, ale też mogłam głosić innym Ewangelię. W tamtym czasie było to dla mnie najważniejsze – i tak pozostało do dziś. Potrafiłam wyjść do ludzi pomimo nieśmiałości, pomimo obaw. Uważam to za cud.

Perspektywa pracy zawodowej i marzenie o zamążpójściu straciły dla mnie urok i sens. Chciałam żyć tylko dla Boga i głosić Chrystusa jak apostołowie, jak Maria Magdalena. Z czasem te pragnienia skrystalizowały się w postaci wyboru

życia konsekrowanego. Ale długo unikałam wejścia w struktury konkretnego zgromadzenia. Stuszenie przewidywałam, że będę musiała zrezygnować z bezpośredniej pracy ewangelizacyjnej. Skończyłam studia teologiczne. Przez kilka lat, razem z innymi dziewczynami, chciałyśmy same coś założyć, mieszkając razem, dzieląc się wszystkim i prowadząc rekolacje. Nie udało się, a mi stuknęła trzydziestka. O powrocie do domu w ogóle nie myślałam, ten rozdział zamknęłam definitywnie. Zrozumiałam, że najwyższa pora na decyzję i skok na głęboką wodę. Z pewnym żalem zostawiłam tamto grono, a z nim moje dotychczasowe plany, i zapukałam do klasztornej furty.



Nowicjat przeżywałam w towarzystwie czterech współnowiczuszek i mistrzyni, na dalekiej wsi, w izolacji od świata. Miałam nadzieję, że to będzie wspólny czas, a przyszło rozczarowanie. Moje współsiostry odrzuciły mnie. Nie znalazłam wśród nich bratniej duszy. Nie mogłam tego zrozumieć. Co ja im zrobiłam? Czym zawiniłam? Czułam ból i słuszny gniew, jednak w sytuacjach konfliktowych nie umiałam się obronić. Od czasu do czasu eksplodowałam w wybuchach złości. Wtedy to one się mnie bały.

Kolejne etapy formacji, kolejne domy, kolejne współsiostry, a scenariusz się powtarzał. Byłam ceniona – ze względu na swój intelekt i zdolności organizacyjne – ale niekochana. Moje współsiostry realizowały wspólnie, nowatorskie projekty, w które mogłabym wiele wnieść. Niestety, nie było w nich miejsca dla mnie.

Kiedy ktoś mi się przeciwstawiał, wpadałam w furję i trzaśkałam drzwiami, a potem, w ciszy swojej celi, drżałam jak liść. Na co dzień pracowałam dużo z tekstami teologicznymi, byłam ekspertem i niewiele brakowało, a zrobiłabym karierę